

## Jan Rokita: Doktryna Cichockiego [FELIETON]

Tylko scenariusz zwycięstwa Zachodu na Ukrainie daje Polsce nadzieję na utrzymanie pokoju. Rozpoczynając zbrojny podbój demokratycznej i sprzymierzonej z Zachodem Ukrainy, Moskwa tak dalece odmieniła polityczną konfigurację na kontynencie, że rosyjska wojenna klęska stała się warunkiem sine qua non pokoju w Europie – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

W krótkim tekście na łamach „Rzeczpospolitej” Marek Cichocki obwieszcza, że w toczącej się na wschodzie wojnie interesować nas może jedynie zwycięstwo. Chcę zgłosić się jako adherent „doktryny Cichockiego”. Prawdę mówiąc, w pierwszych dniach po inwazji możliwość zwycięstwa zdała mi się niepodobieństwem, zważywszy dwa oczywiste, a zarazem kluczowe czynniki: dysproporcję sił Rosji i Ukrainy oraz znany od lat paradygmat zachodniej polityki wobec Moskwy. Toteż pierwszy tekst, jaki napisałem dla „Teologii”, zaraz po pamiętnym dniu 24 lutego, rozważał tylko warianty złego rozwoju zdarzeń w wybuchłej właśnie wojnie. Od okupacji Ukrainy i terroru, jaki musiałby być tego skutkiem, poprzez upokarzający dla Kijowa rozejm, pozbawiający to państwo podmiotowości i części terytorium, aż po rozbiór Ukrainy i suwerenność jakiejś kadłubowej „lwowskiej republiki”.

Miesiąc później, obserwując zarówno bieg wojny, jak i towarzyszącej jej globalnej polityki, do tych trzech czarnych scenariuszy, powinienem dodać jeszcze dwa. Jeden – to perspektywa ciągnącej się z różnym nasileniem wojny pozycyjnej na wschodzie, która uczyniłaby z Ukrainy de facto państwowość upadłą, tak jak to stało się z Syrią. I drugi – ten o który chodzi Cichockiemu, czyli klęskę Rosji, albo w formie układu z Zeleńskim, na mocy którego armia rosyjska opuściłaby Ukrainę za jakąś symboliczną cenę ze strony Kijowa, albo po prostu – jak niegdyś w Afganistanie – ucieczki z podwiniętym ogonem zmęczonych wojną i nie dających sobie rady wojsk rosyjskich. Te ostatnie dwa warianty „zwycięskiego” scenariusza nadal uważam za balansujące na pograniczu nierealności, ale dopisuję je z racji dość nieoczekiwanego biegu pierwszej fazy zdarzeń wojennych, jak i większej, niż można się było spodziewać, skali wsparcia militarnego Ameryki dla Ukrainy.

Mamy więc pięć jako tako realnych scenariuszy, z których „jedyńka”, „dwójka” i „trójka” oznaczają polityczną klęskę Zachodu, „czwórka” – długotrwałą wojnę o niejasnym wyniku, a „piątka” militarną i polityczną klęskę Moskwy. Łatwo zauważyć, że choć trzy pierwsze warianty różnią się od siebie, gdy idzie o wewnętrzne skutki dla Ukrainy, to w polityce globalnej ich efekt jest w gruncie rzeczy taki sam. „Okupacja” niesie rosyjski terror i ukraińską partyzantkę, a wcześniej czy później – akty terroryzmu, tak jak w Czeczenii. „Kapitulacja” – to insurekcja przeciw rządowi, który kapitulację podpisał i wojna domowa z udziałem wojsk rosyjskich. Zaś „rozbiór”, czyli konstrukcja hipotetycznej „republiki lwowskiej”, zapewne ściśle związanej z Polską, oznacza ukraiński zbrojny Piemont, służący odbiciu i zjednoczeniu całego państwa. We wszystkich tych scenariuszach przestrzeń oddzielająca Rosję od Zachodu, czyli od Polski – to już nie żaden geopolityczny „bufor”, ale płonący krwawy kocioł. Zatem to tylko

kwestia czasu, i to raczej dość krótkiego, kiedy taki kocioł wybuchnie, czy to z powodu imperialnej pewności siebie, jaka po militarnym zwycięstwie zapanowałaby na Kremlu, czy też na skutek desperacji zabijanych patriotów ukraińskich. Można się spierać o to, ile czasu trzeba, aby wojna objęła następną w kolejce Polskę, ale spierać się o to, czy tak się stanie – prawdę mówiąc – byłoby rzeczą mało rozsądną.

*Im dłużej pustoszone będą miasta ukraińskie, a świat będzie oglądać ciągle nowe obrazy zbrodni, tym szybciej narastać będzie rozedrganie i nerwowość globalnej polityki*

„Czwórkę” – czyli wariant wojny pozycyjnej o niejasnym wyniku, można paradoksalnie uznać za trochę mniej wybuchowy, ale jest to tylko różnica niuansu.

Paradoks bierze się stąd, iż póki trwa wojna o nierozstrzygniętym militarnie wyniku, trwać będą również polityczne zabiegi o jej nierozlanie się poza Ukrainę. Widać, że Moskwa uderzając w bazę w Jaworowie albo zakłady przy lotnisku lwowskim używa precyzyjnych broni, wystrzeliwanych z samolotów i łodzi podwodnych na Morzu Czarnym, gdyż w przeciwieństwie do uderzeń na Charków czy Mariupol, tutaj zależy jej na precyzji ataku. Jednak im dłużej pustoszone będą miasta ukraińskie, a świat będzie oglądać ciągle nowe obrazy zbrodni, tym szybciej narastać będzie rozedrganie i nerwowość globalnej polityki. A wtedy zwykła prowokacja, albo i nawet wojskowa pomyłka może przenieść wojnę o te pięćdziesiąt kilometrów dalej, czyli do Polski. Każdy widzi i rozumie, że im dłuższa wojna, tym bardziej trzeba się liczyć z taką możliwością. Nasza „czwórka” nie jest zatem o wiele bezpieczniejsza od „jedynek”, „dwójki” i „trójki”.

To co łączy i upodabnia do siebie scenariusze „okupacji”, „kapitulacji”, „rozbioru” i „przewlekłej wojny” – to niemal pewność, że kampania ukraińska 2022 roku przejdzie do historii tak jak kampania wrześniowa 1939: czyli jako pierwszy, stosunkowo nieduży akt większej wojny, którą być może w podręcznikach nazwie się kiedyś „wielką wojną wschodnią”. Kolejnym ogniwem owej hipotetycznej przyszłej wojny stanie się Polska, gdyż wszystko co podczas kampanii ukraińskiej do tej pory się działo i dalej dziać będzie, bezpośrednio dotyczy właśnie Polski. To tędy idzie i będzie iść dalej broń, to tu przyjdą, aby się doposażyć, leczyć i odpocząć przyszli partyzanci, to polskie samoloty mają być, albo nie być wysyłane do walki, to polską granicę może przelecieć jakaś zbłąkana rakietą wystrzelona z Morza Czarnego. To Polska stała się obiektem moskiewskiej nienawiści, jako kraj żarliwie domagający się (i to z sukcesami) brutalnych form odwetu gospodarczego na Rosji. I to Polska uznana została przez rząd „nazistów” w obleganym Kijowie za najwierniejszego sojusznika. Co więcej, jak pokazują dwa niezależne od siebie sondaże rosyjskiej opinii, jakieś 2/3 Rosjan odczuwa dumę z najazdu na Ukrainę, a Polskę i Litwę wskazuje jako kraje, które winny zostać najebrane w następnej kolejności. No i w końcu, to Polska ma od wieków tę pozycję geograficzną, że bez naszego udziału nie może się odbyć żadna wojna Rosji z Zachodem (bodaj jedynym wyjątkiem była wojna krymska, na której za to straciliśmy Mickiewicza).

To jedna rzecz, ale jest i druga, może ważniejsza nawet dla polskiej przyszłości. Dziś już dobrze wiemy, że kremlowskiego tyrana warto słuchać uważnie i z powagą, gdyż ma on tę szczególną, znaną z historii cechę tyranów, iż szczerze mówi o tym, co mu w świecie przeszkadza i co zamierza odmienić. Wiemy też dobrze z historii XX wieku, iż brak uważności i powagi w słuchaniu tyranów, bywa znamienne, a zarazem

katastrofalną cechą polityki europejskich narodów. Co najmniej od sławnej monachijskiej mowy Putina z 2007 roku, nieustannie słyszeliśmy, iż po pierwsze – Ukraina będzie albo istnieć jako część „*русского мира*”, albo nie będzie istnieć w ogóle. A po drugie – iż wejście Polski do NATO i militaryzacja naszego kraju jest historycznym „oszustwem Zachodu”, który złamał zobowiązania złożone najpierw Gorbaczowowi przez Busha, a potem sławetny akt paryski. Tego nie musimy się domyślać, identyfikując polityczne cele współczesnej Rosji, bo to nam zostało *explicite* i po wielokroć powiedziane. Jeśli więc Moskwa odzyska Ukrainę to jej kolejnym, nigdy tego za mało powtarzać – zapowiedzianym krokiem będzie złożenie w pierwszej kolejności Berlinowi i Paryżowi oferty pokojowego rozwiązania kwestii demilitaryzacji Polski, tak by „dyplomacja zwyciężyła nad wojną”, a Europa nie musiała oglądać kolejnych niewinnych ofiar. I trzeba żywić zaiste wyjątkową awersję do wiedzy o rzeczywistości, by z góry mieć pewność, że miłująca Polskę Unia Europejska nie siądzie z nadzieją do takich pertraktacji. Politykiem, który to doskonale zrozumiał jest Orban, dlatego robi to co robi. Warianty dalszego ciągu zdarzeń każdy może sobie sam dopowiedzieć, zależnie od politycznej wyobraźni.

No i w ten sposób wracamy do apologii „doktryny Cichockiego”. Tylko „piątka” – czyli scenariusz zwycięstwa Zachodu na Ukrainie daje Polsce nadzieję na utrzymanie pokoju. Rozpoczynając zbrojny podbój demokratycznej i sprzymierzonej z Zachodem Ukrainy, Moskwa tak dalece odmieniła polityczną konfigurację na kontynencie, że rosyjska wojenna klęska stała się warunkiem *sine qua non* pokoju w Europie. W jakimś sensie taka klęska stanowiłaby dopełnienie tego, co nie nastąpiło w pamiętnym 1989 roku, gdy Sowiety zaczęły się rozpadać bez oporu, jak domek z kart. Dlatego nie ma ani takiego ryzyka, ani takiej ceny, której nie warto by zapłacić za pobicie Rosji teraz, na Ukrainie, bo potem będzie to nie tylko trudniejsze, ale na dodatek dziać

się będzie zapewne w Polsce. Ta ostatnia okoliczność winna być – jak sędzę – rozstrzygająca dla polskich polityków. Jednak magiczna wiara, iż wojnę wschodnią można „zlokalizować”, ograniczając jej skutki do upadku Ukrainy, jest wiarą powszechną na całym Zachodzie. W tę magię wierzą politycy, media i co najważniejsze – obywatele. Bez złudzeń: wierzą także w Polsce! Magicznie myślą nawet tacy pozorni realiści, jak John Bolton, zaklinający dziś Amerykę (i to w niemieckich mediach), aby przypadkiem nie wmieszała się w wojnę na Ukrainie. Dlatego perspektywa zwycięstwa na Ukrainie z każdym dniem się oddala. Co prawda Zachód (czyli w praktyce tylko Ameryka) czyni teraz trochę, albo i nawet sporo, aby Ukraińcy byli w stanie się bić. Jednak gdy w parlamentach, na konferencjach prasowych i w telewizjach do znudzenia powtarzany jest slogan, iż biją się oni nie tylko za siebie, ale i za nas, to jest on powtarzany dlatego, że brzmi jak ładny i górnolotny bon-mot, lecz nie dlatego, by było wielu takich, którzy na serio weń wierzą.

*Jan Rokita*

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego

